

Miałem dużo szczęścia

30 września 2009

– W młodości, w okresie gimnazjalnym, należałem do organizacji niepodległościowej. Bardzo ostentacyjnie prezentowaliśmy nasz patriotyzm, za co przecież groziła kara śmierci. Kolega z gimnazjum ostrzegł mnie przed groźbą aresztowania i w ten sposób uratował mi życie.

Pod wpływem radiowych przemówień generała Sikorskiego do młodzieży, zdecydowałem się przedostać do Armii Polskiej we Francji. W tym czasie przyjechał do mnie kolega z Warszawy, którego znałem od dziecka. Ogłosił, że wybiera się za granicę i czy nie przyłączyłbym się do niego. Matka była zrozpaczona moją decyzją. Ojciec zgodził się, chociaż wiedział, że nic dobrego mnie nie czeka. Przeżył już jedną wojnę i był przekonany, że szanse na przejście granicy są nikłe. Miał rację. Zostaliśmy zaaresztowani przez NKWD i trafiliśmy do sowieckiego więzienia.

Wie pani, ile miałem szczęścia? W więzieniu, w Charkowie, dowiedziałem się o rozstrzeliwaniu polskich żołnierzy. Podszedł do mnie Rosjanin, kolejarz, który przewoził jeńców wojennych. Spytał się czy jestem Polakiem? Odpowiedziałem, że tak. Okazało się, że w więzieniu, w którym przebywałem, w piwnicach rozstrzeliwano polskich oficerów. To było dla mnie wstrząsające przeżycie – wspomina pan Tomasz. – Z kolei w łagrze, w którym przebywałem po wypuszczeniu z sowieckiego więzienia, miałem wypadek, który mógł kosztować mnie życie. W tamtym czasie byłem odpowiedzialny za przewożenie drzewa. Pracę utrudniały warstwy śniegu, przez które musiałem przedzierać się z koniem z saniami. Nie wiedziałem, co znajduje się pod śniegiem i w pewnym momencie, koń zaczepił się o wystający pień i upadł. Nie mogłem w żaden sposób się do niego dostać, ani go rozprząc. Zawołałem nadzorcę swojej grupy i staraliśmy się wspólnie pomóc zwierzęciu, ale na ratunek było już za późno. Pień przebił konia i w drodze do stajni

zwierzę zdechło. A ja zostałem postawiony przed sądem za sabotaż. W łagrze życie zwierząt często było cenniejsze niż życie ludzkie. Prokurator, który tak jak reszta sądu, był jednym z więźniów, zażądał dla mnie kary śmierci. Czekałem około tygodnia zanim mnie wywołano i podano wyrok. Któregoś dnia przyszedł do mnie więzień i przyniósł mi kawał mięsa, mówiąc „To z twojego konia”. W końcu zostałem ułaskawiony, a w zamian ukarano komendanta łagru za zaniedbanie obowiązków i nieodśnieżanie dróg. Udało mi się i to było wielkie szczęście. Najbardziej martwiłem się o to, że tak marnie zakończy się moje życie, że nie zdążę wypełnić obowiązku wobec ojczyzny. Codziennosc w łagrze, bez wątpienia, wyrabiała charakter. Dla mnie to była wielka szkoła życia.

ZAMIANA

– Szczęście nie opuszczało mnie również podczas bitwy pod Monte Cassino. Gdybym podczas natarcia poszedł z piechotą, a miałem już funkcję w kompanii strzeleckiej, prawdopodobnie bym zginął. Niemcy polowali na oficerów. Pod Monte Cassino popełniono taki błąd, że oficer wyróżniał się pod względem umundurowania i był łatwym celem dla niemieckich strzelców wyborowych. Pamiętam, że wśród formacji piechoty były ogromne straty w ludziach. Los chciał jednak inaczej i przed bitwą pod Monte Cassino dowódca plutonu moździerzowego w 17 Lwowskim Batalionie Strzelców został ranny, a ja objąłem jego funkcję, którą piastowałem do końca wojny. Monte Cassino to był mój chrzest na froncie, nie miałem za sobą doświadczenia bojowego. Nie byłem jednak kompletnie „zielony” – ukończyłem wiele kursów wojskowych: brytyjskich i polskich. W Libanie opanowałem trud walki w warunkach wysokogórskich. Czułem się gotowy do objęcia powierzonej mi funkcji – wspomina pan Tomasz. – Podczas walk pod Monte Cassino mój pluton miał dużo szczęścia również poprzez położenie, które zajmował. Artyleria niemiecka nie mogła nas umiejscowić. Strzelali po całym terenie, bez rezultatu. Stanowiska mieliśmy wykute w skałach, w małym wąwozie, na odcinku Castellone. Dopiero w ostatniej

fazie bitwy, 20 maja, Niemcy ustalili naszą pozycję. Rozbili tylko jedno stanowisko, na szczęście załogi odpoczywały i nie odnieśliśmy zbyt wielkich strat w amunicji.

OPATRZNOŚĆ

Nigdy nie starałem się czegoś sobie wybrać. Zawsze automatycznie przychodziło. Los za mnie decydował. Podczas walk zostałem ranny w kolano, jednak nie na tyle poważnie, żebym trwale ucierpiał na zdrowiu. To że nie zginąłem i nie zostałem ciężko ranny zawdzięczam opatrzości i modlitwom mojej matki. Kiedy dowiedziała się, że trafiłem do łagru, żarliwie modliła się za mnie – wspomina pan Tomasz. – Rana w kolano, to także był ogromny łut szczęścia. Współpracowałem na odcinku dowódców plutonów karabinów maszynowych i na zmianę, z innymi oficerami, obserwowaliśmy teren. Jak tylko pojawił się jakiś ruch, otwieraliśmy ogień. Kiedy przyszła zmiana, oficer, który odchodził wskazał pałac, w którym mieliśmy dalej współpracować. Nie mogłem od razu dołączyć do jego grupy, musiałem zabrać sprzęt naszych karabinów maszynowych. Po drodze zobaczyłem zaminowany teren i zdecydowałem się zmienić trasę. Udaliśmy się niżej, na pole. Niespodziewanie nadeszła ogniowa nawała niemiecka i musieliśmy ukryć się w szopie. Niestety pociski przebiły ściany budynku i wtedy dostałem w kolano. W pewnym momencie poczułem, że noga ugina się pode mną, a sierżant do mnie mówi: „Panie poruczniku, pan jest ranny!”. Zawieźli mnie na opatrunek – od razu po opatrzeniu chciałem wracać z powrotem do swojego plutonu. Z poczucia obowiązku, w końcu byliśmy dla siebie w wojsku, jak rodzina. Ale lekarz się nie zgodził i skierował mnie do szpitala. Później, z przyfrontowych szpitali, ewakuowali nas na południe Włoch. Jak leżałem już w szpitalu, bez munduru, w szpitalnej pidżamie, odwiedził mnie lekarz. Powiedziałem mu, że chcę wracać do swojego oddziału, a on na to: „Gdzie się spieszysz chłopaku!”. Nie mogłem tego znieść, więc wyciągnąłem z plecaka swoją koszulę z gwiazdkami i włożyłem ją. Jak mnie później nieśli, już w służbowym ubraniu, lekarz tylko przystanął,

spojrzał na mnie i nic nie powiedział. Były też uczennice, Polki, które uczyły się w Rzymie. I taka młoda dziewczynka podeszła do mnie i powiedziała – jaki młody podporucznik! To był taki przyjemny moment, jakby się było na chwilę w kraju.

ŻOŁNIERSKIE PRZYJAŹNIE

Po wojnie rozsypaliśmy się po cały świat. Utrzymywaliśmy kontakty, łączyły nas więzi korespondencyjne, jak również zjazdy, na których wspominaliśmy dawne czasy. Szkoda, że coraz więcej spośród nas odchodzi. Współpraca w wojsku była bardzo piękna. Jako dowódca nie stosowałem żelaznej dyscypliny. Miałem szczęście, że w moim plutonie chłopcy się lubili. Wszyscy byliśmy tacy młodzi! Jak rekrutowano nas do szkoły podchorążych, najpierw wybierano takich, co mają pełną maturę, ale że chłopców w tym wieku nie było wielu, musieli zmienić wymagania. Byłem dowódcą, ale szanowałem swoich żołnierzy i oni też mnie szanowali. W końcu dzieliliśmy ten sam los. Nie było rygoru jak w innych wojskach. Oficer amerykańskiej armii, nawet po zejściu na odpoczynek, stwarzał dystans w stosunku do swoich żołnierzy. U nas tego nie było. Pamiętam, jak byliśmy pod Bolonią i zajmowaliśmy dom cywilny, w którym schronili się uciekinierzy. Do mojego podoficera podeszła Włoszka z pytaniem, który z nas jest dowódcą. Była zdziwiona, że wszyscy wykonują swoje obowiązki bez krzyków, które towarzyszyły niemieckim oficerom – wspomina pan Tomasz. – Frontowa służba zjednoczyła nas, wyrównała różnice. Niepewność skupiała ludzi, utrzymywała więzi koleżeńskie. Było wiele ciężkich momentów, chociażby pobyt w Rosji, kiedy cierpieliśmy z powodu niewyobrażalnego głodu i mrozu. Mimo to, duch patriotyzmu był tak wielki, że pomagał pokonać wszelkie trudności. Patriotyzm pomagał przetrwać wszystko.

Notowała: Paulina Gotfryd

Źródło: [eLondyn](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Tomasz Konstanty Piesakowski – urodzony 9 kwietnia 1922 w Rohoźnicy. W czasie bitwy pod Monte Cassino dowódca plutonu moździerzowego w 17. LBS. Od 1939 r. zaangażowany w działania na rzecz niepodległości Polski. Autor artykułów i opracowań o treści wojskowej i politycznej, w tym książki „Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1989” (pseud. Julian Siedlecki). Otrzymał wiele odznaczeń polskich i brytyjskich w tym Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP (nadany przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę). Ukończył Borough Polytechnic School of Art w Londynie. Uzyskał liczne tytuły naukowe, łącznie z profesorskim. Zawodowo pracował jako dyrektor ds. artystycznych w firmach brytyjskich.